

1

Krzysztof Kieślowski

PRZYPADEK

-nowela filmu fabularnego

SCENARIUM 1 WERSJA ZATWIERDZONA.

## FRAGM. WYRWCONE ZE SCENAR.

Co wiemy o Witku Dł ugoszu i co może nam się z tego przydać? Może jako wspomnienie, a może ty lko to, co kształtuje człowieka, czego śla dy zostają i do końca są powodem zachowań, poglądów, albo co w którymś momencie życia trzeba zmienić gwałtownie, odnajdując siebie, albo odwrotnie, gubiąc bez powrotu. Mam wrażenie, że poznamy go dopiero kiedy będzie miał 24 lata, a każda chwila tych lat, czy tego chciał czy nie, coś tam w nim w środku robiła.

Przeżył chyba dużo dni zwykłych i uczuć banalnych, ale przecież nawet od tego czy strzeliło się bramkę w szkolnym meczu może dużo za-  
leżeć w życiu człowieka, a Witek nie strzelił z głupiego powodu. Bramkarz przeciwników był jego kolegą z ulicy i kiedy Witek pierwszy raz przyjmował Komunię, ten kolega był ministrantem, później oczywiście uczucie wzniosłości jakiego doznał, pamiętało mu się z twarzą tego kolegi, spokojnie wpatrzoną w księdza i tak odległą, że ten raz, rozpędzony, z piłką u nogi, mógł tylko lekko kopnąć - prosto w ręce ministranta sprzed lat.

Ale założmy, że były też wydarzenia, które zdarzyły się tylko jemu i chyba nie byłyby banalne albo były banalne ale dziwnie. W każdym razie tak pewno musiałby myśleć. Bo urodził się w <sup>WERKOW</sup> ~~pozdani~~ 56 roku w Poznaniu - i może byłoby banalne, gdyby jego ojciec, inżynier u Cegielskiego zginął w tym zamęcie, ale ojciec nie przyszedł tylko na noc, a matka z ogromnym brzuchem poczuła bóle na dwa tygodnie przed terminem, z trudem wśród strzelaniny i czołgów dowlokła się do szpitala i tam w ogromnym rozgardiaszu urodziła na korytarzu dwóch chłopców i zanim ktokolwiek zdążył ją zauważyć - umarła, a brat Witka, Jan zmarł w dwa tygodnie później, mimo, że lekarze i pielęgniarki pracujący przy rannych i umierających zrobili jak to się precyzyjnie określa - wszystko, bo takie chwile dodają ludziom sił i

powiedział wuj kiedy tylko Witek wszedł. Miał 50 lat, był przystojny i szpakowaty, zawsze w krawacie. Jego żona grała na fortepianie w dobrej orkiestrze, dlatego pewno mieli dwupoziomowe mieszkanie na Ursynowie. Wuj lubił się zamyślać oparty o fortepian, wprawiając w ruch metronom, to widocznie przenosiło go w inny wymiar. Rano był prezesem bogatego, warszawskiego klubu sportowego.

- Nigdy nie mogliśmy zapomnieć twojemu ojcu, że zostawił Ewę samą wtedy - powiedział teraz właśnie, czekając aż metronom się zatrzyma, żeby znów delikatnie popchnąć go palcem.

- Był w strajku. Teraz to się wydaje kompletnie bez sensu, ale wtedy musiało być ważne.

- Było, było. Tylko Ewa była zawsze najlepsza z nas wszystkich.

Okazało się, że wuj poznał swoją żonę Irenę właśnie przez siostrę. Razem uczyły się w szkole muzycznej, o czym Witek nie wiedział, a jego matka była w tej szkole od kilku lat najzdolniejszą pianistką. Wuj nie mógł się nadziwić, że ojciec nigdy nie opowiadał o tym Witkowi.

- W ogóle mało mówił - powiedział Witek i wspomniął o tym pisaniu ósemki i o jedzeniu lodów razem z kawą i uśmiechnął się do wspomnienia wspólnego z ojcem obiadu w łódzkiej "malinowej".

• Ma podobny uśmiech - powiedziała ciotka.

- Taki sam.

Rozmawiali, a Witek oglądał dokładnie kilkanaście zdjęć matki. Przy fortepianie, roześmiana, na wycieczce, przy pierwszej komunii.

- Tylko ona w naszej rodzinie wierzyła - powiedział wuj, kiedy zobaczył, że Witek dotarł do tego zdjęcia.

- Pewno dlatego ojciec posłał mnie do komunii.

Chwilę milczeli.

- Co teraz? - spytała ciotka, która była mała, łagodna i szara.

- Nie wiem ...

- Ale co? Pracować, uczyć się, nic nie robić?

- Nie wiem.

Wuj uchylił wieko fortepianu i zagrał kilka nut znanej wojskowej piosenki.

- Głupie pokolenie - powiedział bez związku - nawet nie zdążyliśmy być na wojnie.

- A ja nie zdążyłem, jak ojciec umierał.

Może Staszek, kuzyn i równolatek Witka, działacz młodzieżowej organizacji był przy tej rozmowie od początku, a może przyszedł dopiero teraz. Możliwe też, że cała rozmowa odbyła się późnym wieczorem, już przy rozłożonej pościeli na wygodnej kanapie i w szlafrokach. Pewno impulsem do tej wojskowej melodii mógł być głośny nagłe hymn puszczonego po zakończeniu programu w mruczącym telewizorze. W każdym razie rozmowa w ogromnym pokoju dwupoziomowego mieszkania miała i swoją część praktyczną.

- A pieniądze? Za co chcesz żyć?

- Mam na książeczce, ojciec odkładał mi po 500 zł przez 5 lat ...  
Jeszcze ze 20 tysięcy mam...

- W każdym razie możesz pracować w klubie, jak chcesz. W administracji albo na korycie...

- Albo u mnie - powiedział Staszek.

- To znaczy?

- W Radzie Głównej.

- Za działacza?

- Za działacza.

Witek wybrał z tego koryta. To były eleganckie koryta koło mostu kolejowego i już od siódmej rano przychodzili tam znani aktorzy,

dziennikarze, niektórych czterdziestolatków przywozili kierowcy. Nie był zbyt zaciekawiony tym światem, żarty aktorów przeważnie takie same, opowiadania anegdotek i luźny stosunek do życia nie imponowały mu, ale zawsze ciekawe były rozmowy dziennikarzy, zwłaszcza jeśli komplikowała się sytuacja międzynarodowa. Dziennikarze czytali regularnie zagraniczną prasę, znali komunikaty, mieli także własne źródła informacji. Powoli przekonali się, że nowy kortowy jest człowiekiem inteligentnym i czytany, polubili go i Witek często gadał z nimi zarywając pracę. Grze na kortach przyglądało się zawsze paru chłopców. Nie mieli kart wstępu, ale nie przeszkadzali i Witek wpuszczał ich na kort, żądając tylko trampek lub tenisówek. Zorientował się, że gdyby chłopcy podawali piłki, gracze skracając czas gry o 15 minut i tak graliby dłużej niż teraz, uganiając się po całym placu. Dogadał się z kilkoma dziennikarzami i aktorami - skrócił im czas pobytu na kortach, a w zamian za to już po trzech godzinach zyskiwał 45 minut i na tę lekcyjną godzinę wpuszczał chłopaków. Kiedyś żegnał się właśnie ze znanym komentatorem TV, chłopcy już grali i pojawił się wuj ze Staszkiem, żeby w biurze obgadać przyznane Radzie Głównej godziny gry. Przywitali się wszyscy, oni poszli załatwiać, komentator wytłumaczył Witkowi co znaczy naprawdę nieudana amerykańska interwencja w Iranie i pojechał, a wuj wychylił się przez okno biura i zawołał Witka.

- A ci to kto? - spytał, pokazując chłopców.

- Chłopcy. Podają piłki, każdy odda chętnie 15 minut, żeby nie lać po korcie, więc ich potem wpuszczam jak zarobię trochę czasu.

- Mają karty?

- Nie.

- A płacą?

- Też nie.

- To nie możesz ich wpuszczać.
- Szkoda - powiedział Witek - ten w kapciach dobrze by mógł grać... Staszek też wychylił się przez okno.
- Stuknij go po linii młodzieżowej - powiedział o ojcu. - Możesz?
- Jak to?
- Inicjatywa młodzieży . Lepsze wykorzystanie kortów. Młode talenty, będą musieli pozwolić.
- Fakt, będziemy - powiedział wuj.
- Ale tu nie ma żadnej organizacji - pomyślał Witek i powiedział to głośno.
- To załóż.

W pokojach Zarządu Dzielnicowego zawsze jest tłok i załatwia się masę spraw naraz, często w biegu. Jakaś grupa wyjeżdża do Rumunii na spotkanie miejskich organizacji, rozdaje się proporzyczki współzawodnictwa, które miały być stojące a są do wtykania, ustala się skład na rozmowę z PKOl-em. Witek już zorientowany w tym rozgardiaszu dostaje jakiś podpis od szefa organizacyjnego i sam przystawia sobie pieczętkę na biurku ciemnej dziewczyny, która akurat gada przez telefon, wraca do organizacyjnego, który też gada i gestem zatrzymuje Witka, żeby nie wychodził. Witek myśląc, że chodzi o podpisane pismo, pokazuje mu jeszcze raz, już z pieczętką, ale tamten nie chce, kiwa przecząco głową i słuchając widać potoku słów, które zna z tamtej strony, zakrywa ręką tubkę i mówi: - Marnujesz się na tych kortach, tak - wtrąca do słuchawki - tak, tak, - znów patrzy na Witka - po co ci to? Przyjdź do nas.

- Tu? - pokazuje Witek gestem pokój, gmach, organizację. Tamten kiwa głową, pewno, że tu. Wpadł dopiero teraz na ten pomysł, ale wydał mu się od razu świetny, już przekazał słuchawkę siedzącemu za biurkiem wąsaczowi i wyciągnął Witka na spokojniejszy, ale

też ruchliwy korytarz.

- Patrz - powiedział - załatwiłeś tym chłopakom, że grają, wpuściłeś zawodówkę na basen, Chcesz coś dla nich zrobić, nie?

- No właśnie nie wiem ... tak jakoś mi się zachciało...

- Tym bardziej. Tu od razu możesz więcej. Dostaniesz maturzystów, albo studentów, możesz dostać najcięższych ze szpitala, narkomanów, Chcemy wyciągać takich chłopców, którzy gdzieś się zaczynają kręcić przy różnych nielegalnych ... zakładałeś w szkole tajny rząd?

- Zakładałem, w maturalnej. Rok mi przepadł.

- Ja też, prawie wszyscy zakładali, ale teraz bawią się niebezpieczniej, bo od razu mają ich na oku tamci, my też musimy. Możesz to dostać ...

Ile rzeczy i spraw załatwił organizacyjny, jak tak gadali pod oknem. Podpisał ze trzy pisma, umówił się z kilkoma chłopakami, coś kazał odpowiedzieć przez telefon i zamówił kawę u szatniarki.

Nie wiadomo kiedy Witek zapuścił sobie wąsik, ale wąs był wyraźny kiedy kręcił się po pustym, łódzkim mieszkaniu. Wyszedł ze swego i bez pukania wszedł do dużego pokoju ciotki. Siedziała w okularach nad jakimś papierem.

- Przeczytała ciocia?

- Siadaj, pomogę ci.

Witek usiadł i zaczęli głośno wypełniać formularz kandydata do organizacji. Kiedy doszli do stanu rodzinnego kandydata, ciotce nagle popłynęły łzy.

- Tak się pusto zrobiło tutaj, kiedy odjechaliście ... obaj ...

- Przecież ciocia nawet nie rozmawiała z ojcem.

- Pusto ...

Ktoś zapukał, Witek otworzył drzwi znanemu aktorowi, temu samemu, którego żarty nie śmieszyły go specjalnie na korce.

- Pan obejmie tu w Łodzi teatr - przedstawił go Witek.
- Widziałam pana wczoraj w telewizji ... pięknie pan grał.
- Dziękuję bardzo - powiedział aktor przyzwyczajony do komplementów, ale zawsze uroczy w podziękowaniach. - To tutaj?
- Tu ciocia ... a tam to sąsiednie drzwi.

Wpuścił go do swojego mieszkania, ciotka ciągle trzymała w rękach do połowy wypełniony formularz.

- Nie wiem czy się do tego nadajesz, ale wiesz ...

Przycisnęła rękę, którą ją podtrzymywał i uśmiechnęła się.

- Piękny punkt ... i bardzo blisko teatru - powiedział w przelocie oglądania aktor.

- Mogłaby ciocia do mnie przyjeżdżać, jak już się zamienimy. On mi daje dobrą kawalerkę za Żelazną Bramą.

- W kawalerce mieszka?

- Nie, mieszkanie sobie zostawia. Ma taką kawalerkę na pracownię, czy coś. To mi daje. Mogłaby ciocia przyjeżdżać.

- Już zostanę tu. Jak ktoś mieszka, będzie się ruszał, będę myślała, że to wy.

Myślałem też o tym, żeby zamiana mieszkania odbywała się dlatego, że ciotka nie czuje się już dobrze, że postarzała się i zniechęcała przez ten czas, przycupnęła nagle po stracie brata i trochę ze strachu, a trochę z tego, że zawsze radziła sobie sama, przenosi się do domu starców. Mam jednak wrażenie, że wariant ka-godniejszy jest lepszy. Zobaczymy.

W hangarze na Okęciu 30-letni mechanik skończył sprawdzanie silnika odrzutowego samolotu. Odszedł kilka kroków i dał znak do kabiny, że gotowe. Z kabiny wykonali manewr. Mechanik posłuchał efektu tego manewru, podniósł do góry kciuk, że w porządku. Z kabiny wyłazł mechanik z zagranicznej obsługi samolotu.

- Pan się nigdy nie myli, panie Buzek - powiedział po francusku.
- Nigdy - powiedział Buzek - Nienajlepiej się tylko ożeniłem.
- Ja też - powiedział tamten. - To jeszcze trudniej.

Ten Buzek przypomni nam się jeszcze kilka razy. Łatwo napisać "Buzek" i zwrócić na niego uwagę. Powinien jeszcze wyglądać tak, że kiedy się tylko pojawi, nigdy nie będziemy mieli żadnych wątpliwości - to on. Może będzie gruby, roześmiany? Powiedzmy.

O świcie dziewczyna po cichu wyslizgnęła się z łóżka. Ubrała się, poczuła na sobie wzrok Witka i już bez zwracania uwagi na to, żeby było cicho, jeszcze w bluzce przyniosła mleko zza drzwi. Postawiła na krzeselku przed łóżkiem. Podeszła do szarego okna i założyła bluzkę. Usiadła obok łóżka.

- Głupio, nie?
- Czemu? - spytał Witek, choć dobrze wiedział czemu.
- Bo nic nie czujesz.
- Czemu myśmy nie poszli do łóżka jak mieliśmy po siedemnaście lat?
- Pewno właśnie dlatego. Nie wiedziałeś jak to zrobić.
- Nie wiedziałem...

Roześmiała się.

- Kretyńskie to powiedzenie, że miłość nie rdzewieje.
- Kretyńskie.
- Tak myślałam. W dodatku takeśmy się rozleźli...

Przejechała mu palcem przez czoło i po garbie nosa, a kiedy chciał ją pocałować, kiedy palec zawisł nad ustami, jak to widać kiedyś robili, cofnęła rękę, wstała i zabrała kurtkę z wieszaka.

- Czuska! - zawołał Witek.
- Idę do moich - powiedziała Czuska od drzwi. - A to nie są twoi.

- Wracam do Garwolina,

- Czemu?

- Zlikwidowali patronat, z powrotem ma być szpital normalny. Powie-  
siło się dwóch chłopaków, dziewczyna wyskoczyła oknem i zlikwidowa-  
li. Taka Maryna, opowiadałem ci, pamiętasz?

Po tym incydencie z narkomanami i benzyną Witek jeszcze moc-  
niej uwierzył w sens działania, i to działania tam właśnie gdzie  
się znalazł. Nie był tak naiwny, żeby nie widzieć, że gdzieś po dro-  
dze dzieją się rzeczy niezbyt czyste, że główny tor działania orga-  
nizacji nie zawsze zgodny jest z ideami, dla których ją powołano,  
ale często z satysfakcją zauważał, że coś zostało zrobione i stoi,  
że jakaś sprawa została załatwiona i ludziom jest lepiej. We wszyst-  
kich działaniach czuł za sobą siłę aparatu i presję masy ludzi,  
których - wierzył w to głęboko - sprowadziły tutaj nie potańsówki  
i wczasy i nie perspektywa kariery lub tylko spokoju, a właśnie wia-  
ra w sens działania dla poprawy i ku dobremu. Kiedy rozmawiał o tym  
ze Staszkiem lub z wujem - sportowym prezesem, widział w ich oczach  
uśmiech nad jego naiwnością właśnie i zapałem, ale też widział ro-  
dzący się szacunek. Staszek wprowadził go do Rady Głównej, a tam  
zakres jego możliwości i kompetencji poprawił się znacznie. Bardzo  
możliwe, że zajął się organizacjami studenckimi w domach akademic-  
kich. Kiedy lubelscy studenci w ramach chrześcijańskiej pomocy  
chcieli opiekować się pensjonariuszami domu nieuleczalnie chorych,  
zapomnianych już zupełnie starców, gdzie permanentnie brakowało  
personelu, a władze nie bardzo chciały ich tam wpuszczać, Witek po-  
jechał i załatwił wejście, a potem zorganizował autobus, którym  
studenci mogli dojeżdżać do swoich pensjonariuszy, spowodował, że  
w domu tym ustały kradzieże prowiantu, o który starzy i zniedołęż-  
niali pensjonariusze nie mogli się nawet dopominać. W czasie swojej

tam obecności i wrażenia, które zrobił, udało mu się doprowadzić do sytuacji, w której kilku studentów wstąpiło do jego organizacji, widząc skuteczność poczynąń. Kiedy wyjeżdżał, domem starców opiekowała się już Rada Wojewódzka, a podobne akcje proponowano w innych województwach, często ze skutkiem.

Do ludzi i idei studentów z Lublina Witek dotarł przez Czuszkę, którą spotkał kiedyś w warszawskim akademiku, gdzie na skutek niedogrzaniam/przyszli inżynierowie porobili miejscowe urządzenia elektryczne o takiej mocy, że po kilku dniach elektrownia wyłączyła prąd, a kiedy puścili gorącą wodę plastikowymi rurami, tworząc zamknięty obieg i doprowadzając do znośnej temperatury w pokojach, i wtedy wyłączono im tę gorącą wodę, a studenci odmówili chodzenia na wykłady - właśnie Czuszka patrzyła na poczynania Witka ze złością, siedząc w stołówce, owinięta w kilka kocy, ale kiedy Witek sprowadził władze miejskie, kontrolę San-epidu, kiedy na skutek tej działalności powyjmowano kryzy w kaloryferach i w pokojach przestała zamarzać woda, a ci z akademika znów zaczęli chodzić na wykłady - Czuszka nie patrzyła już w ten sposób. Kto wie, czy wszystko nie poszło tak jak poszło właśnie dlatego, że Witek zobaczył jej wyzywające spojrzenie, kiedy pierwszy raz znalazł się w tej zimnej i ciemnej stołówce i zrozumiał w tym spojrzeniu, że są teraz w zupełnie innych miejscach, a on naprawdę wcale tak nie myślał, a napewno tak nie chciał. Potem Czuszka wprowadziła się do niego i okazało się, że te sześć lat od czasu ich przedostatniego widzenia w pierwszej klasie maturalnej Witka i te kilka miesięcy kiedy widzieli się u niego w domu - to był dla nich czas stracony, a zazdrość o ten czas i o ludzi tam spotkanych, o te miłości krótkie i przypadkowe była tak gwałtowna, że Witek musiał zobaczyć tych wszystkich mężczyzn i chłopców, obgryzając paznogie do gołej skóry.

musiał to zrobić któryś z tych wachaczy Ixi i z upartego milczenia ojca z próbą uspakajającego uśmiechu, zorientowała się, że źle zrobiła, mówiąc Buzkowi o tej ręce wyglądającej jakby dopiero co ktoś wyjął z niej widelec.

Co by zrobił Witek, gdyby chciał, żeby to mądre i piękne, to co usłyszał od mężczyzny w białej sukni, było czy mogło być bardziej jego?

Może na obóz wakacyjny dla młodych małżeństw, gdzie program przewidywał różne konkursy i wygrywanie pralek, a na finałowym obozie - małego fiata, Witek chciałby zaprosić kogoś, kto mówi podobnie nie odwołując się do tajemnicy i niepoznawalnej choć istniejącej sprawiedliwości. Z młodzieńczych lektur pozostał mu prof. Kotarbiński i życiem godziwym, ale Staszek natychmiast uświadomił mu, że dziś Kotarbiński nie jest już w stanie propagować swoich idei, więc Witek przypomniał sobie z Tv prof. Jankowskiego, który mówił o etyce i moralności i Witkowi we wspomnieniu zrymowało się to z hasłami z najwyższego ziemskiego tronu. Prof. Jankowski okazał się na obozie człowiekiem dużo ciekawszym i bardziej dotykającym niż jego wspomnienie z Tv i Witek był bardzo zadowolony z przebiegu długo w nocy ciągnącej się dyskusji o sensie życia. Młode małżeństwa studenckie uwolnione na chwilę z przymusu doprowadzenia swoich domków do stanu idealnej czystości, okazały się wyjątkowo chłonnejną podstawowe wartości głoszone przez profesora, wyjątkowo zagubione wśród codziennej bieganiny i bardzo gorzkie w konstatacji braku nadrzędnego celu tej krzątania. W czasie dyskusji energicznie i ze swadą zabierał głos trochę starszy od innych facet w okularach. Mówił jak trzeba, o podstawowych wartościach, o wspólnocie celów, że wszyscy razem możemy, jeśli weźmiemy się za ręce, trochę nawet za gładko mu szło. Witkowi wydawało się, że zna faceta. Kiedy tamten powiedział,